

Treści umieszczane na blogu <http://wypaddo.pl/> są całkowicie darmowe i nie musisz za nie nic płacić. Jeśli jednak uznasz, że ich wartość jest dla Ciebie wartościowa i zechcesz się odwdzińczyć

wystarczy, że skorzystasz z banerów reklamowych zamieszczonych z boku strony. Za ich pośrednictwem kupisz bilety, zarezerwujesz hotel, ubezpieczysz się podczas podróży czy też wynajmiesz samochód.

Poleć też stronę znajomym.

A teraz życzę miłej lektury.

Mój pierwszy raz... Londyn. 4-6.12.2013r (ver. 1.0)

Jeśli zdecydowałeś się ni z gruchy ni z pietruchy na swój pierwszy wypad do Londynu to ten tekst jest sprawozdaniem z takiej właśnie wyprawy. Dowiesz się z niego jak dotrzeć i przetrwać 3 dni w obcym mieście położonym ok 1500km w linii prostej od naszej stolicy. Właściwie to dowiesz się z niego jak jak to zrobiłem ...ile błędów popełniłem i ile pieniędzy wydałem zupełnie niepotrzebnie.:-)

Pierwsza rzecz, rezerwacja biletów.

To co jest najdziwniejsze w tej całej podróży to ...ceny .:-) Za 69zł bilet do Londynu?

Niemożliwe...taka właśnie była moja pierwsza reakcja.

Rezerwacji biletów dokonałem poprzez stronę <http://www.ryanair.com/pl>. To strona tanich linii lotniczych Ryanair. Obsługa strony i formularza jest stosunkowo prosta i nie będę ich szczegółowo omawiał natomiast wskażę kilka punktów, które mogą okazać się przydatne.

Pierwsza rzecz o której warto wspomnieć to miejsce wylotu i przylotu. Lotniska rozmieszczone są stosunkowo daleko od miast. W przypadku Warszawy jest to Modlin, a w przypadku Londynu Stansted. Obie te miejscowości to ok 50km do centrum. Krótko mówiąc dochodzi kwestia dojazdu oraz ewentualnego parkowania samochodu. Wiąże się to z czasem i oczywiście wydatkami.

Na lotnisku trzeba być odpowiednio wcześniej. Godzinę jeśli nie mamy dodatkowego bagażu, a dwie jeśli takowy posiadamy. Ponieważ ja wybrałem się w tę podróż z córką bagaż dodatkowy okazał się nieodzowny wszak to już kobietka prawie 17sto letnia .:-)

Podczas wypełniania pól formularza na stronie otrzymujemy całe mnóstwo możliwości dodatkowych. Ubezpieczenia, rezerwacje parkingu, rezerwacje konkretnych miejsc w samolocie, możliwość zakupu autoryzowanych toreb podróżnych itp. Trudno mi coś w tym temacie sugerować ale ja pominąłem je wszystkie (korzystając z rad doświadczonych podróżników) koncentrując się jedynie na tym co niezbędne.

To na co warto zwrócić uwagę to zgłoszenie bagażu dodatkowego. Jeśli takowy mamy to trzeba to zrobić od razu, przed zaakceptowaniem zakupu biletów. Potem mamy wprawdzie możliwość edycji naszej rezerwacji ale zapłacić trzeba więcej. My płaciliśmy ok 100zł ale była to właśnie cena już po zakupie biletów bo nie przyszło mi do głowy, że korekta będzie skutkować wyższą wartością. W pierwszym rzucie wystarczyła by kwota 80zł. Ceny te w sporej części zależą

od sezonu i tak np. w czasie wakacji to odpowiednio 160zł i 190zł. Polityka firmy to wyraźnie polowanie na jelenia. Przegapiłeś ...płacisz.

Inną ciekawą rzeczą jest płatność za płatność. :-) Jeśli użyjemy karty debetowej nie zapłacimy nic natomiast za kartę kredytową Ryanair skasuje 2% od kwoty którą płacimy. Ja kartę debetową mam i to nie jedną ale na stronie otrzymywałem komunikat, że jest to niewłaściwa karta i transakcja zostaje odrzucona (karta była na liście obsługiwanych) i w efekcie musiałem ten charcz zabulić :-) Z kartami debetowymi są problemy i ludzie często na forach piszą, że nie chce przyjąć im transakcji. W pierwszej kolejności należy sprawdzić czy karta nie ma zablokowanej możliwości płacenia przez internet i czy nasz limit transakcji internetowych na karcie nie wynosi 0 zł. Z tego co się zorientowałem to procedury na stronie internetowej są przyczyną większości komplikacji, a nie problemy z karą czy też bankiem. Ludzie miewają dziwne problemy i radzą sobie na różne sposoby. Jedni płacą pojedynczo za każdą osobę inni podają Visa DEBIT zamiast Visa ELECTRON. Moja rada : spróbuj za chwilę jeszcze raz.

Gdy już płatność zostanie zaakceptowana elegancko otrzymamy emial na podaną w formularzu przez nas skrzynkę ze wszystkimi informacjami dotyczącymi naszego lotu.

Kolejnym krokiem jest odprawa online, którą wykonujemy również przez stronę internetową. Odprawy tej możemy dokonać najwcześniej na 15 dni przed odlotem. Link do odpowiedniej strony znajdziemy w emial, u potwierdzającym rezerwację. Jest to strona „zarządzaj rezerwacją”. Uwaga techniczna. Po kliknięciu w link wyświetli się strona w języku angielskim. Wystarczy odświeżyć stronę w przeglądarce i pojawi się wersja polska (tak przynajmniej działa to u mnie). Jedyny problem jaki napotkałem wypełniając ten formularz to data ważności dowodu osobistego mojego taty, który to był trzecim uczestnikiem tej eskapady. Problem polegał na tym, że tata jest emerytem i nie ma wpisanej daty ważności, a program nie pozwoli zaakceptować formularza bez podania tej informacji. Rozwiązanie jest takie, że trzeba podać datę późniejszą niż data wylotu. Ja podałem możliwie najdalszą na jaką zezwalał formularz. :-) Po akceptacji należy wydrukować kartę pokładową, która jest biletem podróznym sprawdzanym wielokrotnie na lotnisku dlatego też należy ją mieć ze sobą. Warto wspomnieć również o informacji telefonicznej Ryanair. Są dwa numery telefonów **703 303033** i **703 703007**. Koszt połączenia do pierwszego to 2.08zł, a do drugiego 4,92zł. Wygląda na to że różnica polega na dostępności agenta bo przy droższym numerze jest opis : „pomoc w nagłych wypadkach”. Nie korzystałem ponieważ nie miałem takiej potrzeby i uważam, że dobrze! Sięgnięcie po telefon jest szczególnie kuszące w sytuacjach takich jak np. odrzucenie karty płatniczej ale uwierzcie mi, że w tym przypadku nikt wam nie pomoże bo nikt nie będzie znał przyczyny wystąpienia tych problemów. Jedyną radę jaką uzyskacie to : proszę spróbować ponownie za chwilę lub użyć innej karty.:-)

Drugim etapem rezerwacji jest oczywiście hotel. W moim przypadku zdecydowałem się na Travelodge, który polecił mi znajomy.

<http://www.travelodge.co.uk/>

Kierowałem się następującymi kryteriami : blisko centrum, od strony lotniska no i oczywiście cena. Koszt pokoju dla 3 osób to 54£ za pierwszą dobę i 49,34£ za drugą. Opłata za transakcję PayPal to kolejne 2£. W sumie zapłaciliśmy 105£ czyli 88zł wychodzi na osobę za jedną noc. W pokoju łazienka, łóżko małżeńskie + dostawka oczywiście wszystko z pościelą. Ręczniki i małe jedno mydélko. Czajnik, herbata i cukier. Brakowało mi jedynie choć małej lodówki. W pokoju mieliśmy dziwne okno...matowe, przez które nic nie było widać i na dodatek nie można go było otworzyć tylko uchylić. Może w Londynie ludzie mają zwyczaj wyskakiwać przez okna na ulicę i stąd te wynalazki. Nie rozumiem jedynie tego matowego okna, że niby z zewnątrz nie można podglądać czy jak? Ogólnie czysto, miło i bez wahania zamieszkał bym tam ponownie...no może zamienił bym jedynie to okno. :-)

Hotel znajduje się w dzielnicy Stratford (E15 2JG High Street) ok 6,5 km od centrum miasta.

Zaraz przy nim jest przystanek autobusowy ale nie korzystaliśmy z niego tylko chodziliśmy do metra, które jest oddalone o jakieś 5-10minut spacerkiem czyli jak podają na stronie 0.6 mili, czyli niecały kilometr. Za WiFi trzeba dopłacić, 1 godzina 5£, 24 godziny £10. Hotel dysponuje czymś

takim jak Bar Cafe i można w nim wykupić posiłki. My z niego nie korzystaliśmy.

Hoteli warto szukać za pomocą stron:

<http://www.booknight.pl/>

<http://www.booking.com/>

Z moich obserwacji wynika, że cena za przyzwoity pokój to ok 100zł za osobę.

Tańsze hotele to już ustępstwa na rzecz np. wspólnej łazienki lub mieszkania z innymi osobami.

A więc wszystko zabukowane ...czas na podróż. :-)

Do Modlina pojechaliśmy naszym samochodem. Wiadomo, samochód trzeba gdzieś zostawić. Przy lotnisku jest wiele parkingów jest też parking przy samym terminalu (600 miejsc) ale nie jest strzeżony. Postój do 10min jest bezpłatny. Dwie doby to 70zł, a trzy 80zł. My zdecydowaliśmy się na Orange Parking za 50zł (3 doby). Parking ten jest strzeżony i zapewnia podwózkę w obie strony - w związku z tym dostaliśmy wizytówkę z telefonem.

Pierwszą rzeczą jaką należy zrobić to nadać bagaż dodatkowy jeśli takowy mamy. Stoiska obsługujące ten etap znajdują się na wprost wejścia do terminala. Cały terminal nie jest duży więc trudno się zgubić. Nie wiem czemu ktoś od bagaży sprawdzał wszystkie karty pokładowe i dokumenty skoro bagaż był zarejestrowany na mnie, no ale może ostrożności nigdy za wiele. Walizka została zważona, oznaczona a ja dostałem dodatkową naklejkę, którą przyklejaliśmy mi na bilet (kartę pokładową). Tak dla formalności dodam, że trzeba mieć ze sobą dowód lub paszport i oba te dokumenty powinny być ważne. No chyba, że lubimy mocne wrażenia i dyskusje z funkcjonariuszami...wszelkiej maści. Dodam jeszcze, że walizka wagowo musi zmieścić się w granicach które zadeklarowaliśmy bo w przeciwnym przypadku albo trzeba będzie ...oczywiście dopłacić albo coś wyrzucić do pobliskiego kosza. Standardowo dopuszczalne są bagaże o wadze do 15 i 20kg i każdy podróżujący może zarejestrować do dwóch sztuk takiego pakunku.

Następny etap to...trzepanie...bagaży i podróży. Okazało się, że nie można mieć ze sobą płynów powyżej 100ml więc półtora litrowy Żywiec Zdrój został na wyposażeniu lotniska ku uciesze trzepaczy. Słusznie bo taką butelką bardzo łatwo obezwładnić pilota np. wylewając całą zawartość na jego okulary albo co gorsza spodnie. Ja jako jedyny nie wyskoczyłem z butów, może dlatego, że miałem cienkie podeszwy za to musiałem wypakować dokumentnie plecak, w którym wiozłem sprzęt foto. Prześwietlali mi go dwukrotnie ale szczęśliwie nic nie znaleźli! Krótko mówiąc przygotujcie się na chwile mało przyjemne i pamiętajcie żeby założyć nowe skarpety bo można sobie wstydu narobić w tym bądź co bądź międzynarodowym towarzystwie.

Po przekroczeniu tej pozostałości, którą zawdzięczamy Amerykanom z ich 11 września 2001r. wkraczamy w obszar tzw. bezcłowy za to wysoko marżowy jak się dosyć szybko można przekonać. Nie wiem czy w ogóle tu opłaca się coś kupić ale wygląda na to, że ta sama woda kupiona na lotnisku jest już zdecydowanie bezpieczniejsza niż ta z Biedronki kupiona w Zielone i można ją śmiało wnosić na pokład samolotu. Może w tym przypadku decyduje czterokrotnie wyższa cena. Pod wpływem takiej różnicy można zmienić zdanie na nie jeden temat.

Do odlotu mieliśmy jeszcze sporo czasu więc po zakupach w spożywczaku usiedliśmy sobie spokojnie w holu poczekalni i podzwoniliśmy do najbliższych żeby podzielić się świeżymi przeżyciami. Tata wymachiwał rękami żaląc się mamie, że go jakiś facet obmacywał po tyłku, a Ola gruchała przez iPhone ze swoim chłopakiem utyskując na stratę wody, która jest jej nieodzowna do życia, a którą po bandyckiej cenie musiała odkupić w miejscowym mini markecie. Ja natomiast ruszyłem na zwiedzanie bo nie lubię za długo siedzieć w jednym miejscu i minąwszy toalety odkryłem, że za rogiem czeka na nas kolejna niespodzianka. Celnicy. Teraz to już nie wiem może to straż jednak graniczna bo celnicy to chyba są ci od trzepania. W każdym razie wyciągnęliśmy po raz trzeci papierzyska do kontroli paszportów. Tu na szczęście poszło szybko choć pomyliły mi się kartki i podałem w pierwszej chwili nie swoją co zaowocowało jakimś dziwnym formalnym zwrotem w moją stronę...w stylu: access denied czy game over lub jakoś podobnie. Na szczęście

ogarnąłem temat i po chwili staliśmy już w kolejce... do kolejnej kontroli.

Teraz pałeczkę przejęli pracownicy Ryanair. W tym miejscu warto nadmienić, że bagaż podręczny, który jest wliczony w cenę biletu ma bardzo precyzyjnie określone parametry. Maksymalne wymiary to 55 cm x 40 cm x 20 cm i waga nie większa niż 10kg. Na lotnisku stoją specjalne kosze, w które można zapakować torbę i sprawdzić czy spełnia kryteria. My mierzyliśmy wszystko po pięć razy w domu żeby nas nie zawrócili, bo wspominają o tym na swojej stronie internetowej, natomiast inni, pewnie starzy wyjadacze mieli tak różne i niewymiarowe pakunki, że aż się o nich zacząłem martwić. Okazało się, że zupełnie niepotrzebnie. Najpierw jakaś uśmiechnięta pani przeleciała po wszystkich pasażerach stemplując karty pokładowe, a następnie kolejka ruszyła. Wychodząc na lotnisko jeszcze nam poobdzierali kupony kontrolne ale do bagaży nikt się nie czepiał.

Zaskoczyło mnie, że praktycznie mijamy się z ludźmi wychodzącymi z samolotu, który dopiero co przyleciał, a już przygotowania do trasy powrotnej idą pełną parą. Szybkie tankowanie opukanie kół i jazda. Tak to właśnie wygląda, taki międzygwiazdny super autobus. Dodam jeszcze, że na wszelki wypadek sprawdzili nam bilety po raz kolejny przy samym wejściu do samolotu. Wprawdzie z uśmiechem ale jednak. Czyli w sumie zaliczyliśmy 5 kontroli.

Lot do Londynu to ok 2.5 godziny – tyle czasu potrafi trwać mój powrót z Warszawy do domu - i prawie przez ten cały czas na pokładzie odbywa się ...handel. Kawa, herbata, ciasteczka, potem perfumy i kosmetyki i inne pierdoły. Nawet proponowali bilety jakiejś loterii, w której można wygrać ileś tam milionów funtów czy euro. Nie marnują żadnej okazji żeby wyrwać jeszcze trochę kasy.

Widoki za oknem miłe bo słonecznie (w tę stronę lecieliśmy za dnia), a chmury wyglądają jak zasypane śnieżne gdzieś na biegunie północnym. Złudzenie do tego stopnia realne, że człowiek aż wyteżę wzrok chcąc dojrzeć choćby jednego białego niedźwiedzia albo stado fok.

Przed Londynem - co mnie nie zdziwiło i w pewnym sensie nawet ucieszyło – pilot zszedł niżej i można było podziwiać angielskie widoki. Widoki wyglądają zupełnie jak nasze widoki i nie ma w nich nic szczególnie angielskiego. W prawdzie nie wiem czego mógłby się spodziewać bo ani żyraf ani słoni raczej nie ale liczyłem na coś w tyłu angielskiej flagi czy może królowej na koniu albo czegoś w tym rodzaju.

Lotnisko powitało nas raczej szarą i pluchawą pogodą ale oddychało się jakby lepiej. Wszak to Anglia, kraj mlekiem i miodem płynący.

Teraz puścili nas przeszklonym długim korytarzem dzięki czemu widać było znowu tych co podążają w przeciwną stronę. Ruch bez mała jak na Marszałkowskiej w Warszawie w godzinach szczytu i jakoś tak zabrakło mi celebracji tego lotu i tej podróży. Od taka zwykła sprawa przylecieć z Polski do Londynu. Korytarz zaprowadził nas (nie da się zgubić), jak można było się spodziewać do kolejnej kontroli. Kontrola dokumentów. Na szczęście popatrzyli nam jedynie głęboko w oczy i puścili wolno. Ciekawostką było jedynie to, że część osób zapraszali do innej kolejki. Dopiero po jakimś czasie skapowałem się, że tam w oczy zagląda kamera i to komputer decyduje kogo wpuścić, a kogo wtrącić do lochu. Różnica jest taka, że tam gdzie podróżnych prześwietlają maszyny nie ma kolejki...Teraz już tylko należało poczekać na walizkę. Bagaże wyjeżdżają na taśmociągach, które znajdują się w holu zaraz za kontrolą dokumentów i trudno je przeoczyć.

Tutaj kilka słów należy się internetowi i tak popularnemu u nas facebook'owi. Ten cały zły i zepsuty świat wirtualny w moim przypadku zaowocował niesamowitymi znajomościami w różnych częściach świata. Tak się też stało i z Londynem. Piotra poznałem klepiąc w klawiaturę mojego domowego komputera. Przed przyjazdem podpytywałem go o różne rzeczy, a on zaferował pomoc. I tak oto czekaliśmy na faceta, którego wcześniej widziałem tylko na obrazku i dopiero tuż przed wyjazdem rozmawiałem z nim pierwszy raz przez telefon. Piotr pojawił się ze swoją Moniką, czyli swoją dziewczyną. Przyjechali po nas samochodem więc podróż do miasta była bezstresowa i nad wyraz tania. Autobus, który kursuje z lotniska do Londynu to wydatek rzędu 8 - 10£ ale nie przetestowaliśmy tej opcji ani w tę ani w drugą stronę. Piotr i Monika najpierw ugościli nas u siebie w domu pysznym obiadem, a następnie Piotr odwiózł nas do hotelu. Wszystko fajnie się złożyło bo

dość dobra hotelowa zaczyna się od 15:00 więc wcześniej raczej nie ma co pojawiać się w recepcji. Tu też uwaga bo może okazać się, że recepcji jako takiej nie ma... Coraz częściej trzeba obsłużyć się samemu. Stoi taki automat, coś jak bankomat, wkłada się mu kartę, za pomocą której dokonywało się płatności i rezerwacji a on na tej podstawie wydaje ci kartę-klucz. W naszym przypadku automaty były ale nieczynne i była pani recepcjonistka, która nam osobiście wręczyła kartę dostępową. Hotel to taki blok, chyba z 10 pięter więc do naszego pokoju pojechaliśmy windą. Szybka wizja lokalna czy kran jest normalny, a nie podwójny - co jak się okazało jest tutaj na porządku dziennym - czy są ręczniki no i czy w ogóle pokój wygląda tak jak na zdjęciach. Okazało się, że wszystko gra i buczy i jest zgodne z opisem. Warto w tym miejscu wspomnieć, że Anglicy nie dość, że po rondzie jeżdżą w lewo i mają podwójne krany to na dodatek gniazdko elektryczne mają takie jakieś kanciaste i kompletnie inne niż te normalne nasze. Tak, że warto zaopatrzyć się przed wyjazdem w specjalną przejściówkę żeby można było np. podłączyć ładowarkę do komórki. Taka przyjemność to wydatek od kliku do ok trzydziestu złotych w zależności od wersji i wykonania, a kupimy ją bez problemu np. na Allego.

Do metra z hotelu jest 5 może 10 minut spacerkiem. Metro jest tak fantastycznie rozbudowane, tak że praktycznie swoim zasięgiem obejmuje całe miasto. Dlatego głównie z tej formy komunikacji postanowiliśmy właśnie korzystać. Tu warto wspomnieć, że w Anglii metro to nie metro tylko underground. My zorientowaliśmy się w momencie, w którym pani z recepcji nie mogła zrozumieć o co pytamy.

Jak można się spodziewać bilety są do kupienia zaraz przy wejściu do metra. Stoją tam automaty, są i kasy. Najpierw próbowaliśmy kupić bilety w tych automatach ale były tam jakieś takie wysokie ceny i brak opcji wyboru stref...było widać, że ludzie doładowują w nich bilety wielokrotnego użycia tzw, karty Oyster. My chcieliśmy kupić bilety jednorazowe. Okazało się, że można było je dostać w kasach niedaleko wejścia. Cena biletu zależy od stref po których chcemy się poruszać. Londyn ma takich stref głównych 6. My mieszkaliśmy w strefie 4tej, a centrum to strefa 1sza. Tak więc wykupiliśmy bilety na strefy od 1 do 4. Koszt to 8£. Taka cena obowiązuje od godziny 9:30. Wcześniej przed 9:30 to tzw. Peak Time czyli godziny szczytu i wtedy cenna jest wyższa - w tym konkretnym przypadku (11£). Bilet jest ważny do 4:30 dnia następnego i upoważnia do korzystania z metra, autobusów miejskich, tramwai, DLR (Docklands Light Railway) czyli systemu automatycznie sterowanych pociągów, National Rail (czyli kolei) oraz London Overground - kolejki, która kiedyś nazywała się Silverlink. Wychodzi na to, że można jeździć wszystkim pomijając jedynie taksówki. Przy tej okazji sugeruję zaopatrzyć się w Tube map czyli mapkę metra i zwykłą mapę Londynu tak żeby wiedzieć dokąd chce się jechać. Zaznaczam też, że lotnisko jest poza zasięgiem i trzeba kupić oddzielny bilet ale o tym w dalszej części. Tu wszelkie możliwe mapy Londyńskiego transportu :

<http://www.tfl.gov.uk/gettingaround/1106.aspx>

Pierwszy nasz cel, który sobie upatrzyliśmy, a właściwie który narzuciła nam Ola to ...Oxford Street. Pomysł był taki, że ponieważ nasz pierwszy dzień w Londynie to praktycznie popołudnie i jest już ciemno to nie ma co oglądać i warto zrobić w tym czasie...zakupy. Zakupy to raczej ostatnia rzecz, o której ja bym pomyślał nie wspominając o moim tacie no ale jak kobieta prosi w dodatku córka i wnuczka to facet ma marne szanse na sprzeciw.

Oxford Street to najbardziej ruchliwa arteria handlowa w Europie z ilością ponad 300 sklepów, a spora ich część to kliku piętrowe budynki, a więc dla dużej części populacji to taki raj na ziemi albo prościej taki bardziej wykwintny dawny nasz Stadion Dziesięciolecia. Dotarliśmy tam metrem chyba w 15 minut bez konieczności żadnych przesiadek. Opiszę trochę dokładniej samą podróż bo ja np. w życiu nie jechałem żadnym metrem, nawet tym warszawskim i miałem w związku z tym na początku trochę emocji. A więc...bilet wsuwa się tuż przed bramką do specjalnej szczeliny, a następnie automat wypluwa go po sprawdzeniu kawałek dalej i wrota się otwierają, można przejść. Od razu napiszę, że bilet potrafi się zniszczyć (w sumie jest papierowy) i przestać działać. Przytrafiło mi się to drugiego dnia. Trzeba wtedy udać się do kogoś z obsługi technicznej, a zwykle

ktoś taki stoi w pobliżu i pokazać wadliwą Travelcard. Uprzejmie i bez problemu zostaniemy wpuszczeni lub wypuszczeni bo bilet używa się zarówno przy wchodzeniu jak i wychodzeniu. W sytuacji gdy nie ma nikogo kto może nam pomóc, a taka sytuacja też wystąpiła, należy załapać się za osobą, która właśnie przechodzi przed nami. Tylko trzeba to zrobić szybko bo inaczej zostaniemy przytrzaśnięci. Mnie przytrafiło się to z walizką którą ciągnąłem za sobą w dniu powrotu. Pomimo, że bilet był w porządku wrota tak złapały mocno mój bagaż, że nie mogłem go wyrwać. Po prostu przechodziłem za wolno. Dopiero z pomocą taty bramka ustąpiła. Potem dowiedziałem się, że dla pasażerów z tobołami jest specjalne, szersze przejście. Gdy już pokonaliśmy tę pierwszą przeszkodę przyszła kolej na następną, a mianowicie znalezienie odpowiedniego peronu. Jest to stosunkowo proste bo wszystkie linie oznaczone są różnymi kolorami. Trzeba tylko zwrócić uwagę na kierunek w którym chcemy jechać. Mając plan linii metra bez większych kłopotów poradzimy sobie i z tą trudnością bo wszędzie są bardzo czytelne znaki i opisy. Metro kursuje co ok 4 min. więc praktycznie w ogóle się nie czeka. Podczas podróży damski głos (choć podobną są i męskie na innych liniach) komunikuje jaka stacja się zbliża, a dodatkowo w wagonach umieszczone są tablice z trasą metra i nazwami poszczególnych przystanków oraz miejsca, w których można się przesiąść. Ważna rzecz...drzwi metra otwierają się same i nie trzeba nic wciskać.

Odnosnie Oxford Street polecam stronę:

http://www.streetsensation.co.uk/oxford/os_intro.htm

na której można zorientować się co i gdzie jest oraz można poznać ofertę większości sklepów.

Za 4£ można ściągnąć sobie na telefon 20 map (w tym Oxford Street) dzięki którym łatwo znajdziemy interesujące nas sklepy.

http://www.streetsensation.co.uk/download_page.htm

Kilka słów odnośnie adresów w Londynie. Np. nasz hotel :

High Street – nazwa ulicy

Stratford - dzielnica

London – nazwa miasta

E15 2JG (pierwsza część to okręg pocztowy E – London East, druga to jednostka obejmująca od jednego do kilku budynków)

Budynek hotelu nie ma żadnego numeru...hmm.

Przyznam, że kilka razy szukaliśmy adresu i było to spore wyzwanie dla nas. Najlepiej z adresami radzi sobie Google maps.

Sklepy, które odwiedziliśmy to głównie ciuchy i kosmetyki. Byliśmy w Primark'u, Forever 21, Superdrug'u, Bots'ie i kilku innych.

Tu adresy ich stron internetowych:

<http://www.primark.com/whats-new>

<http://www.forever21.com/EU/Product/Main.aspx?br=f21&lang=en-US>

<http://www.superdrug.com/>

<http://www.boots.com/>

Uwaga!

Primark'i na Oxford Street są dwa, na dwóch różnych końcach ulicy.

Pełno ludzi (pomimo późnej pory), wysokie ceny (niestety przelicznik x5 {1£ = 5zł}) jest dla nas mało korzystny i spore odległości do pokonania. Sklepy czynne są w godzinach 10-20, w czwartki do godz.21.00, a w niedzielę od 12.00 -18.00.

Zahaczyliśmy też o McDonald's'a głównie ze względu na darmowe WiFi, które było

nieodzwonne jak się okazało dla Oli i jej Instagram'a. Cała ulica to piękne świąteczne oświetlenie i nie mniej piękne wystawy sklepowe.

Do hotelu wróciliśmy ok 22, padnięci jak muchy.

Dzień drugi.

Jako pośrednik między pokoleniowy i organizator wycieczki, oddelegowałem się rano po śniadaniowe zakupy. Najbliższy sklep to TESCO express. To taki mały spożywcza bez... pań kasjerek. Sklep od hotelu oddalony jest może z 300m w przeciwną stronę niż stacja metra czyli po wyjściu z Travelodge trzeba iść w prawo. Niewątpliwą atrakcją sklepu jest fakt, że przy kasie trzeba obsłużyć się samemu. Przyznam, że ważąc i naliczając sobie kolejne produkty miałem różne myśli ale suma sumarum ...zapłaciłem za wszystko. Te produkty, które mają kod kreskowy nie stanowią kłopotu bo wystarczy podstawić je pod czytnik, natomiast np. bułki należy odszukać po obrazku co wcale nie jest proste ze względu na jakość grafiki więc może się zdarzyć, że naliczymy sobie coś czego nie mamy.

Ceny produktów, które zakupiłem wyglądają następująco:

Pudełko herbaty ekspresowej – 2.87£
Woda Volvic water (6 x 0,5l) – 2.10£
Papryka (pakowana po 2 sztuki) - 1.50£
Kostka Masła English butter – 1.56 £
Woda Buxton Water 1.5l – 0,68 £
Bułka Cheese Roll(coś w stylu kajzerki) - 0.45£
Rogal z nadzieniem na słodko Choc croissant – 0.85£

Nie kupowaliśmy nic innego ponieważ z domu zabraliśmy trochę kanapek i mieliśmy też ze sobą salami i suchą kiełbasę...jak to Polacy.

Po powrocie do hotelu okazało się, że nie mamy kilku rzeczy. Zdecydowanie dał się nam we znaki brak Beatki, mojej żony. Ona zadba zawsze o wszystko. Nie mieliśmy więc noża żeby posmarować bułki masłem, nie było też deski do krojenia ani żadnych talerzyków. Na wyposażeniu pokoju były jedynie kubki i herbata. Chcąc nie chcąc ruszyłem do hotelowej stołówki...żeby zdobyć chociaż nóż. Po śniadaniu, którego przygotowanie wymagało sporo pomysłowości napotkałem jeszcze jeden problem, a mianowicie brak lodówki. Gdzieś masło trzeba przechować. Na szczęście to grudzień więc ciach masło za okno. Niestety ze względu na nasze bezpieczeństwo - jak głosił napis na szybie – okno jedynie można uchylić, a kostka nie chce się zmieścić w tę cholerną szparę. Całe szczęście, że masło jest z masła i można je przeformować nieco, dzięki czemu żadna szczelina nie jest mu straszna. Gdy już pokonałem wszystkie trudności, ruszyliśmy ponownie na podbój miasta. Tak, przygotowanie śniadania nie jest wcale proste...w Londynie. :-)

Zaczęliśmy od pałacu królowej czyli Buckingham Palace. Wychodząc z metra trzeba przejść przez nie mniej słynny Green Park. O tej porze roku może nie jest to szczególnie urokliwa okolica ale i tak mieliśmy go po drodze. Na mapie te miejsca są zwykle oznaczone i warto je zlokalizować żeby zorientować się którą linią metra trzeba jechać. Obejrząwszy Pałac Królowej (z zewnątrz) ruszyliśmy w stronę London Eye. To taka wielka karuzela z wagoników, której można podziwiać perspektywę Londynu lecz cena £29.50 za osobę skutecznie nas odstraszyła. Po drodze zrobiliśmy sobie zdjęcia z żołnierzami Gwardii Królowej trafiając akurat na zmianę warty. Czerwone płaszcze, złote hełmy i czarne konie naprawdę robią wrażenie. Następnie dotarliśmy do Big Bena robiąc sobie jeszcze po drodze zdjęcia z czerwoną budką telefoniczną, która to jest symbolem Londynu podobnie jak piętrowe autobusy i przedpotopowo wyglądające taksówki. Big Ben to wieża zegarowa przypominająca nieco szczyt warszawskiego Pałacu Kultury. Po obfotografowaniu ze wszystkich stron zegara, wierzy i kilku pobliskich ulic zapakowaliśmy się do metra i pojechaliśmy w stronę kolejnej miejscowej atrakcji jaką jest Tower Bridge. To taki most zwodzony, który

wygląda jak by go zbudowali w średniowieczu (budowę ukończono w 1894r.) Ponieważ mieliśmy już trochę dość łażenia zawitaliśmy do pobliskiego Starbucks'u żeby się nieco ogrzać przy kawie i wzmocnić przy ciastku.

Tu kilka cen:

Gingerbread latte - 3.35£

Toffee nut latte – 3,35£

Brewed Coffee – 1,80£

Chocolate (ciastko) – 1,90£

Sam most robi niesamowite wrażenie, a i widoki z niego są godne polecenia. Z jakiś jednak względów pokręciwszy się nieco po okolicy postanowiliśmy wrócić ponownie na Oxford Street. Ta ulica przyciąga. Ponieważ zbliżała się pora obiadowa zaczęliśmy szukać jakiegoś przytulnego miejsca w którym można co nieco przekąsić ale zdecydowanie innego niż *McDonald's*.

McDonald's wszędzie jest taki sam. Trafiliśmy zupełnym przypadkiem do Pub'u Mews Of Mayfair usytuowanego trochę z boku Oxford Street.

<http://www.mewsofmayfair.com/>

Miejsce miłe i bardzo przyjemne, gorzej natomiast z cenami.

Za obiad składający się z ryby , frytek i herbaty dla 3 osób zapłaciliśmy 64,13£ czyli tanio nie było ale na pewno warto, wszak żyje się jeden raz, a w Londynie jak do tej pory bywa się nie częściej.

Szukając restauracji trafiliśmy na sklep firmowy Victoria's Secret więc już się nie dało nic zrobić i po obiedzie musieliśmy tam wejść. To znaczy Ola musiała, a my z dziadkiem niejako z urzędu również. Sklep ma ze 4 piętra , jak większość dużych sklepów, do których wchodziliśmy, a wygląda jak tani burdel...przynajmniej ja go tak odebrałem choć przyznam, że w temacie burdeli specjalistą nie jestem. Ponieważ to raj dla kobiet i miejsce świętsze chyba niż Jasna Góra postanowiłem kupić tu prezent dla żony. Obwąchawszy pół sklepu i zasięgnąwszy rady najbliższych zdecydowałem się na perfumy Victoria's Secret Bombshell 50ml, cena 44£. Gdy już myślałem, że raj mamy za sobą okazało się, że pojawił się na horyzoncie napis Selfridges. To sieć luksusowych domów towarowych, a moja córka stwierdziła, że jest w niebie. Na szczęście tu obyło się bez zakupów.

Ostatni dzień.

Rano podreptałem, można powiedzieć jak zwykle do Tesco, a potem po śniadaniu zgarnęliśmy bagaże bo doba hotelowa trwa do 12:00 i udaliśmy jak zwykle do metra. Dzisiaj mieliśmy w planie kupić bilety na lotnisko i wyskoczyć do świata m&m'sów (m&m's world). To kolejne miejsce, które wskazała nam Ola jako super atrakcyjne. Samolot powrotny mieliśmy dopiero o 17:45 ale dziadek bardzo się niepokoił więc pojechaliśmy na dworzec Liverpool kupić bilety. Tu krzyżuje się metro z koleją. Powiem szczerze ,że nie wiem czemu zdecydowaliśmy się na kolej ...chyba dla świętego spokoju bo bilet na lotnisko kosztuje aż 15,45£ (jedynie taksówka jest droższa – 99£) i można się jedynie pocieszać, że jest to najszybsza forma transportu. Bilety kupiliśmy po prostu w kasie na dworcu. Pociągi na lotnisko kursują co 15 min i zatrzymują się praktycznie bezpośrednio przy terminalu. Wystarczy jedynie przejść kawałek piechota by się znaleźć w hali odlotów. Po zakupie biletów wsiedliśmy w metro i wróciliśmy na... Oxford Street ponieważ sklep firmowy m&m's znajduje się w tej właśnie okolicy. Złapałem się na tym, że zastanawiam się czy jest w ogóle coś co nie znajduje się w tej właśnie okolicy i czy to przypadkiem nie jest to jakiś imperialistyczny podstęp. Sam sklep to znowu kilku piętrowy budynek i naprawdę mistrzostwo świata pokazujące jak za pomocą zwykłych cukierków można zbudować niezwykły świat i równocześnie świetny biznes.

Pierwsza rzecz jaką postanowiliśmy zrobić na lotnisku to sprawdzić wagę naszego rejestrowanego bagażu żeby uniknąć dodatkowych opłat. Pomyślałem, że na pewno znajdziemy jakąś wagę wszak to Londyn miejsce wyjątkowe i cywilizowane. I nie pomyliłem się z tym tylko, że

jest to koszt 1£. :-) Wydaliśmy więc 2£ bo walizka okazała się za ciężka i powtarzaliśmy tę czynność jeszcze raz po wypakowaniu kilku rzeczy. Potem wyszło no to, że ludzie, których bagaże okazały się za ciężkie przy kontroli mogli je przepakowywać więc nie ma co panikować i wydawać cennych pieniędzy na płatne wagi. Następną kontrolą to podobnie jak w Polsce trzymanie tego co przy sobie. Przemysłowcy i celnicy czyli orgazm na granicy jak to bywało niegdyś w Belinie Zachodnim. Tym razem mój sprzęt foto okazał się nieważny i mało niebezpieczny, tak że nawet nie odpinałem plecaka natomiast numerem jeden okazały się kosmetyki. Największe opakowanie jakie można mieć to 100ml i produkty powinny znajdować się dodatkowo w hermetycznie zamkniętych torebkach foliowych. Widziałem, że starzy bywalcy mają kosmetyki zapakowane w torebki z takim błyskawicznym zapięciem na ścisk. Skończyło się na tym, że Oli skonfiskowali bardzo bombo twórczy 300ml krem Nivea. My z tatą tym razem wyszliśmy bez szwanku.

Do odlotu czekaliśmy tak jak w tę stronę w strefie tzw. bezcłowej otoczeni zewsząd sklepami przeróżnej maści o cenach mało atrakcyjnych a nawet rzekł bym wygórowanych. Gdy zbliżył się czas odlotu postanowiliśmy poszukać naszego gate'u czyli bramy, czyli miejsca, w którym wychodzi się na lotnisko do samolotu. W terminalu wszędzie wiszą monitory, na których wyświetla się informacja o przylotach, odlotach itp. Z niepokojem zauważyliśmy, że nie ma naszego samolotu ani naszej godziny. Trochę spanikowaliśmy biegając od bramy do bramy i szukając naszego ukochanego Ryanair'a – a tych bram jest tam chyba ze 100. Dopiero jakieś stewardesy wyjaśniła nam, że trzeba cierpliwie czekać aż nasz lot się jednak wyświetli. Na szczęście okazało się to prawdą i za niespełna 30min po sprawdzeniu biletów siedzieliśmy w samolocie lecącym do Warszawy.

U nas już po lądowaniu kontrola paszportów (dowodów), odebranie bagażu, telefon na parking i wróciliśmy szczęśliwie do domu.